

MATYŁDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁUMACZYŁA

MARYA TÓCZYSKA

64

I.

W piątym roku naszego okropnego współżycia pod jednym dachem, ośmieliłem się na przedsięwzięcie rozpaczliwej próby. Raz jeszcze, pomimo strasznego wspomnienia tamtej pierwszej próby, pogrążyłem Maryę w śnie hypnotycznym. Uczyniłem to, drżąc z trwogi i z wielką ostrożnością. Ale tym razem innego rodzaju ironia losu zatamowała moją wolę. Kiedy nienawidzić Maryi do mnie ujawniała się w ostrzejszej jeszcze niż zazwyczaj formie, uspakajałem ją sugestią i narzucałem sen — lecz teraz nie był to już sen prawdziwy, tylko lekka odrętwiałość, uspakajająca jej nerwy, nie zwalczająca jednak jej woli.

Marya odpowiadała mi spokojnie i podlegała w pewnej mierze mojej sugestii, czasem jednak potrafiłem ją zmusić do wypowiedzenia w tym półśnie, że mnie kocha, ale zaledwie dotknąłem jej ręki, stawała się oporną i dziką i uciekała, pozostawiając mnie bezsilnym i rozpaczoną aż do leż.

Próbowałem różnych sposobów, aby ją ujarzmić, zmieniałem miejscowości naszego pobytu, wywoziłem w dalekie kraje, próbowałem nawet pozostawić ją samą przez kilka miesięcy, to znowu nie opuszczałem jej ani na chwilę, uciekałem się do próśb i siły — wszystko było bezskuteczne!

Przez czas ten utrzymywałem listowne stosunki z Mojżeszem Kabib, któremu donosiłem, że Marya umiera w Niemczech i że ją pochowałem na cmentarzu małego miasteczka Düsseldorf. Zdaje mi się, że on nigdy w zupełności nie uwierzył zapewnieniom, lecz przez obawę przedemną milczał. Posyłałem mu ciągle pieniądze, bo popadł wówczas w wielką nędzę i zajmował się w Rzymie sprzedażą starych obrazów i różnych innych przedmiotów. Przez niego otrzymywałem ciągle wiadomości o małej Racheli, której uroda i duma zupełnie podobną była do urody i dumy Maryi.

Kiedy ja po latach ujrzałem, miała lat sześćnaście. Była tak piękna, tak pociągająca, że ujrawszy ją, zapragnąłem ją posiąść, dlatego, że była córką Maryi i tak podobną do niej! Ja wówczas miałem już lat pięćdziesiąt. Byłem jeszcze brzydszy i wstrętniejszy i sam brzydziłem się sobą za to pragnienie. Rachelą była cudownym, woniejącym kwiatem, na który najwyżej wolno mi było patrzeć z daleka, a ja zapragnąłem zerwać go i cieszyć się jego upajającą wonią.

W ten to sposób przez te dwie fatalne namiętności, które wżarły się w moje życie, ściągnąłem nieszczęście na te dwie kobiety, które najwięcej ukochałem na świecie.

Usiłowałem zabić hrabiego Ranieri'ego Lambertini'ego, który chciał mi wykraść Rachelę i hrabiego Roberta Alimena, który wykradł mi uciętą rękę Maryi. Lecz przeznaczenie okazało się silniejsze odemnie, bo udało mi się tylko zranić niebezpiecznie pierwszego — drugi zaś uprzedził mnie, wykradając Maryę z mojego domu.

— Czy wiecie, w jaki sposób zabiłem tę kobietę? Zrobiłem na niej doświadczenie, które przeprowadzałem z dobrym skutkiem już dawniej na innych osobach — zasuggestyowałem ją na odległość. Kiedy po powrocie z Dublina zastałem mój dom pusty, bez Maryi i zaufanych służących, postanowiłem zabić uciekającą, a potem zabić siebie samego. Miesiąc upłynął, zanim dowiedziałem się o miejscu pobytu hrabiego Alimena i miesiąc ten przeżyłem w najokropniejszych torturach. Marya była jeszcze piękną, a Alimena młodym, pełnym życia człowiekiem, który mógł się podobać każdej kobiecie.

Kiedy dowiedziałem się, że Alimena ukrył Maryę na wyspie Wight, udałem się tam bezwzględnie z postanowieniem zabić ją w jakikolwiek sposób.

Przez dwie noce siedziałem, ukryty w łodzi, pod oknami Maryi i hrabiego Alimena, próbując trudnego zasuggestyowania Maryi na odległość.

Można sobie wyobrazić, w jakim stanie znajdowałem się przez te dwie noce. Nie byłem pewnym, czy wola moja i władze hypnotyczne będą mogły podzielać na Maryę z takiej oddali.

Jak jaguar wokoło swojej zdobyczy, tak ja krążyłem przez te dwa dni wokoło willi, w której ukryta była Marya. W nocy zaś siedziałem w łodzi, kołyszącej się na ciemnym, wzburzonym morzu, mając oczy wlepione w okna „ich” pokoju. Oh! nie wiem doprawdy, co mogło mnie powstrzymać, by przemocą nie wpaść tam, między nich i nie zamordować ich oboje... oboje splecionych w miłosnym uścisku. Nie mogąc się zdobyć na zemstę lwa, wybrałem zemstę gada.

— Ona — myślałem — zawezwana przemnie, przyjdzie do okna, a wówczas ja jej każę skoczyć z balkonu w przepaść i ona posłuszną mi być musi!

— Oh! Boże! jakimże tryumfem zabiło mi serce, kiedy nareszcie pragnienie moje ziściło się i drugiego dnia, późnym wieczorem, ujrzałem cień biały, zbliżający się do okien balkonu. To była Marya! To była ona! Włęcz przybywała na moje wołanie! Nie chciała mi nigdy być posłuszną w miłości w stanie snu hypnotycznego, lecz teraz powolną mi będzie, kiedy jej rozkażę umierać...

Popelnilem tę zbrodnię. Popelnilem tę zbrodnię nikczemną, której przebaczyć mi nie może ani Bóg, ani ludzie! Zabiłem w sposób najohydniejszy niewinną istotę, której człowiek, kochany przez nią, nie mógł bronić ani uratować.

Od strasznej chwili, w której na rozkaz mój ujrzałem spadające ciało Maryi z balkonu jej willi, od tej chwili, w której usłyszałem głuchy łoskot jej głowy, rozstrzaskującej się o bruk kamienny — coś zamarło, rozbiło się w mojej piersi.

Czy nie lepiej było dla mnie widzieć ją pogrążoną w śnie hypnotycznym, jak wówczas, kiedy ja wywoziłem z Moskwy? Uwoziłem ją wówczas pełny nadziei, że obudzi się przecież i będzie pomimo wszystko moją własnością. Teraz, kiedy z tej kobiety pozostały tylko szczątki skrwawione — coś mi po niej pozostało! Kochanek jej zaraz po katastrofie wybiegł z willi. On to złożył jej ciało w pokoju, gdzie musiał doznać tyle rozkoszy miłości. On to okrył pocałunkami jej piękne, czarne warkocze, on to zarzucił kwiatami jej drogie szczątki!

Ah! on zapewne usłyszał mój straszny wybuch śmiechu! Ale nie wie, że śmiech ten rozdarł mi serce na zawsze!

Umrę już za godzinę!...

Ostatni z moich wiernych służących zaniesie ten manuskrypt na cmentarz w Coves i złoży go na grobie Maryi. Chcę, aby tajemnica moja stała się jawną. Będzie to moja pokuta. Ginę, jak najędzniejszy z nędzarzy, jak najmarniejszy gad ziemski. Nikt nie zapłaci nademną, a ściągnę sobie przekleństwo tych wszystkich, którym zbrodnia moja znana będzie. Nie dbam już teraz o to. Nienawidzę się sam i pogardzam sobą!

Umrę za godzinę!...

Przetnę sobie arterię na szyi i patrzeć będę spokojnie na krew spływającą po moim ciele.

Jest to sposób zadania sobie śmierci bardzo dla mnie odpowiedni. Ta krew moja gorąca i czerwona doprowadziła mnie do śmierci, ta krew, w której gorzał płomień młodego, pięknego mężczyzny, podczas kiedy ja byłem tylko ohydnym potworem, godnym poltowania.

Wy zaś, Ranieri Lambertini, Rachelo Kabib, Robercie Alimena, bądźcie zadowoleni. Wasz niepokonany nieprzyjaciel, wasz prześladowca okrutny, sławny Markus Henner, umrze dobrowolnie, wyłoczywszy sobie krew z żył i porzuci was wszystkich. Lecz wiedźcie, że tylko przez nią i dla niej prześladowałem was w ten sposób i nienawidziłem tak strasznie! Dla niej pragnąłem waszej śmierci i dla niej to uczyniłem to wszystko i umieram teraz. Oh! gdyby chociaż zwłoki moje leżeć mogły pod ziemią obok jej ciała, w tej samej trumnie! Ale ta radość jedyna nie będzie mi przyznana! Aż do ostatniego dnia, żywa czy umarła, Marya Kabib nigdy nie należała do mnie! Nigdy —

Markus Henner.

Czytanie tego ponurego manuskryptu trwało dosyć długo. Kiedy bowiem Ranieri podniósł głowę, na twarzy jego zmienionej wyczytać było można uczucie człowieka, który zbadał tajemnicę życia.

Podniósł oczy na Dicka Leslie i wyrzekł cicho: — I co dalej? On się naprawdę zabił?

— Tak, panie. Zabił się.

— Przeciął sobie żyłę?

— Znalezione go zamkniętego w swoim domu na Broadway. Leżał w kałuży krwi.

— A więc Markus Henner nie żyje! — zawołał Ranieri, jak gdyby mówił do siebie.

— Tak. I wraz z nim zatarł się wszelki ślad życia. Przed śmiercią spalił całą swoją korespondencję, wielką ilość manuskryptów i notatek naukowych tak, że nikt z żyjących nie będzie mógł nigdy zbadać całej tajemnicy jego życia. Pozostawił jednakże testament...

— Testament?

— Tak... Zapiisał cały majątek swój, który był olbrzymi, biednym żydom w Palestynie.

— Alimena nie mógł zaleźć swojej zemsty... — szepnął Ranieri w zamyśleniu.

— Tak, nie mógł — i dlatego obawiam się o jego życie — wyrzekł ze smutkiem defektyw.

— Powinien pan pospieszyć do niego, pozostać przy nim i czuwać nad każdym jego krokiem.

— Tak właśnie uczynię — odparł spokojnie Dick Leslie. — Dziś jeszcze wieczór wyjadę do Londynu i do Coves. Mam nadzieję, że uda mi się go oderwać od tego cmentarza...

— Niech pan to uczyni — szepnął Ranieri głęboko wzruszony — będzie to uczynek miłosierdzia. Ja teraz odjechać nie mogę — czekać tu muszę na wyrok mój!...

Dick Leslie wstał z fotela, lecz nie wychodził jeszcze. Zdawało się, że ma jeszcze coś do powiedzenia i podczas kiedy Ranieri spoglądał na niego z lękiem, wyrzekł nagle ożywionym głosem:

— Przyniosłem panu jeszcze list trzeci.

— Prawda — przypomniał sobie Ranieri. — List Maryi Kabib do córki. Czy pan wie, co on zawiera?

— Nie wiem, panie hrabio. Miałem go tylko oddać panu i nic więcej. Nie wiem więc, co on zawiera, lecz zdaje mi się, że mogę panu dać jedną radę. Niech go pan odeszle natychmiast pannie Racheli.

— Czy pan sądzi, że list ten zaważyć może na losie moim? — zapytał żywo Lambertini.

— Powtarzam, że nie wiem, co jest w tym liście. Ale niech go pan odeszle, niech go pan odeszle jak najprędzej.

W chwilę później Dick Leslie pożegnał Ranieri'ego. Przed odejściem Ranieri raz jeszcze prosił defektywa, aby czuwał nad zdrowiem Roberta Alimena, co tenże obiecał mu uczynić bezwzględnie, gdyż jeszcze tego samego dnia, nie zatrzymując się nigdzie, pospieszył na wyspę Wight.

Ponieważ godzina była już późna, Ranieri nie mógł wysłać listu Maryi do Racheli. Nazajutrz, Róża uszczęśliwiona z możliwości zobaczenia siostry Gracyi, pobiegła wczesnym rankiem do klasztoru.

Jednakże i tym razem Rachelą odmówiła widzenia się z Różą. Naprawdę Ranieri przez ośm dni codziennie wysyłał starą służącą do klasztoru, żebrząc jakiej wiadomości, jakiego znaku. Ani razu Róży nie udało się ujrzeć Racheli. Stara powracała coraz bardziej smutna i zgnębiona i nie odpowiadając na gorączkowe pytania Ranieri'ego, rzuciła się na fotel i wybuchła głośnym płaczem.

Ranieriego zaś ogarniała rozpacz i straszne zniechęcenie. Spędzając długie godziny w samotności w hotelu, skracał sobie czas odczytywaniem listów Roberta Alimena i Markusa Hennera. Słowa tego ostatniego obudzały w nim tylko gniew i nienawiść szczerą. Pożegnana, żywiołowa namiętność Hennera przejmowała go wstrętem i grozą. Nawet po śmierci jego nie mógł znaleźć w sobie ani iskry poltowania i współczucia dla człowieka, który z przyczyny właśnie tej nienaturalnej, niezdrowej miłości stał się przyczyną tylu nieszczęść i rozpacz.

Dziwiącego dnia, kiedy zbolata dusza młodego człowieka przeszła już przez wszystkie formy tragicznego smutku i tęsknoty i nie widział już nic przed sobą prócz śmierci — kłosa zapukał do jego drzwi.

Nie wstając z fotelu, gdzie siedział obezwładniony przygnębieniem najwyższym, zawołał machinalnie:

— Proszę wejść!

Ktoś wszedł cichym krokiem i zatrzymał się u progu.

Była to Rachelą Kabib, piękniejsza jeszcze, młodsza, z oczami błyszczącymi miłością i uśmiechem na ustach.

Wyciągnęła obydwie dłonie ku Ranieriemu i wyrzekła z prostotą:

— Matka moja kazała mi wrócić do ciebie i kochać cię wiecznie aż do śmierci. Jestem więc i odtąd nic mnie z tobą już nie rozłączy!

KONIEC.